

Przyklejeni do tronów

12 lipca 2016

„Dożywotni prezydenci” z krajów afrykańskich przywódcom europejskim wydają się polityczną osobliwością. Są też łatwym celem krytyki jako główna przeszkoda na drodze ku demokratyzacji. Jest to prawda, choć niecałkowita.

Założona przez afrykańskiego potentata telekomunikacyjnego Mo Ibrahima fundacja od 10 lat przyznaje nagrodę za wybitne osiągnięcia afrykańskich przywódców. W ciągu tych dziesięciu lat przyznano ją jednak tylko pięciu afrykańskim politykom, wliczając nagrodę honorową, którą otrzymał w 2007 roku Nelson Mandela – postać o tak niekwestionowanej pozycji i autorytecie w Afryce, że wyróżnienie go w większym stopniu było raczej zaszczytem dla nowo wykreowanej inicjatywy niż dla niego samego. 16 lipca tego roku komitet decydujący o przyznaniu nagrody zdecydował, że znów nie będzie laureata. Co zatem jest nie tak z afrykańskimi przywódcami, skoro tak nieliczni zostali uhonorowani?

Do nagrody Mo Ibrahima mogą być zgłaszani tylko afrykańscy prezydenci lub szefowie rządów. Nie wystarczy jednak, by ich rządy były wybitne, ustanawiając bowiem nagrodę, Mo Ibrahim uznał, że oceniać można jedynie tych, którzy ukończyli swoje dzieło, a zatem wyróżnienie mogą otrzymać ci, którzy w ciągu ostatnich trzech lat odeszli ze stanowisk. Jak się okazuje, jest to warunek trudny do spełnienia, gdyż w Afryce najwyraźniej większość głów państw i szefów rządów (często, zresztą, w afrykańskich państwach jest to ta sama osoba) zdecydowanie woli pozostać na stanowisku jak najdłużej niż ustawić się w kolejce po prestiżową nagrodę.

Wśród przywódców państw, którzy weszli w skład liczącej 54 członków afrykańskiej grupy w ONZ – aż 17 sprawuje swój urząd od ponad 10 lat. Listę tę otwiera prezydent Gwinei Równikowej Teodoro Obiang Nguema Mbasogo, który włada tym krajem

nieprzerwanie, odkąd w sierpniu 1979 roku obalił swojego wuja i poprzednika Francisco Macías Nguemę, po przewrocie skazanego przez specjalny trybunał na 101 wyroków śmierci (choć zaciężny pluton egzekucyjny złożony z Marokańczyków zastrzelił go tylko raz).

O palmę pierwszeństwa z prezydentem Obiangiem mógłby jednak walczyć przywódca Kamerunu Paul Biya, będący wszakże głową państwa od 34 lat, co plasuje go za kolegami z Angoli (José Eduardo dos Santos – 36 lat, nieco ponad miesiąc krócej, niż szef państwa ekwatorijskiego), Zimbabwe (Robert Mugabe – także 36 lat), ale jeśli doliczyć do tego lata na stanowisku premiera, to można uznać, że 30 czerwca zakończył czterdziesty pierwszy rok rządzenia państwem.

Kolejni na liście są: prezydent Ugandy Yoweri Museveni (30 lat), Sudanu – Umar al-Baszir (26 lat), Czadu – Idriss Déby (25 lat), Erytrei – Isaias Afwerki (25 lat), Gambii – Yahya Jammeh (21 lat), aby wyliczyć z imienia tylko tych, którzy pełnili swoje funkcje powyżej dwóch dekad. Siedemnaście lat rządów to za mało, aby w ścisłej czołówce znalazł się urzędujący prezydent Republiki Kongo Denis Sassou Nguesso, ale odnotować trzeba, że wcześniej rządził od 1979 do 1992 roku, co w sumie daje mu wynik plasujący go w grupie rekordzistów.

Do niedawna w tej grupie byłby jeszcze rządzący przez 27 lat prezydent Burkiny Faso – Blaise Compaoré, został on wszakże przed półtora roku obalony w wyniku przewrotu. Technicznie rzecz biorąc, dzięki temu faktowi mógłby zostać zgłoszony do nagrody Mo Ibrahima, choć, co należy podkreślić, bycie byłym prezydentem nie jest warunkiem wystarczającym do jej otrzymania.

Smutny los prezydenta Compaoré zdaje się wskazywać, że obalenie przemocą bywa najskuteczniejszą metodą zastąpienia rządzących, którzy nie chcą pozbawiać obywateli swoich państw swego przywództwa, choć i z tym bywa różnie. Gdy 5 lutego 2005 roku, po 38 latach rządów, zmarł prezydent Togo Gnassingbé

Eyadéma, dowodzący togijską armią generał Zakary Nandja również dokonał przewrotu. Generał nie pragnął jednak, jak by mogło z pozoru się wydawać, władzy dla siebie, lecz zdecydował się na ten krok z zupełnie innych pobudek. Jak sam później wyjaśniał, zrobił to zasmucony odejściem starego prezydenta, które wywołało w nim poczucie pustki. Postanowił więc tę pustkę wypełnić tak, aby państwo togijskie w jak najmniejszym stopniu odczuło stratę. W rezultacie zatem ogłosił prezydentem syna zmarłego, Faure Gnassingbé – bo kto mógłby lepiej zastąpić nieboszczyka? Wywołało to wprawdzie poważne wątpliwości co do legitymizacji sukcesji i protesty opozycji, nota bene kierowanej przez syna prezydenta obalonego przed niemal czterema dekadami przez Eyadémę. Pod naciskiem Unii Afrykańskiej i społeczności międzynarodowej musiały odbyć się wybory, ale Faure Gnassingbéi tak je wygrał. Po dwukrotnej reelekcji (ostatniej w 2015 roku) rządzi do dziś, a ponieważ jest jeszcze człowiekiem młodym, ma poważną szansę osiągnąć wynik porównywalny z prezydentami Biyą czy Mugabe. Przypadek togijski sprzed 11 lat wart jest przypomnienia, gdyż obrazuje on dobrze procesy polityczne, zachodzące w państwach afrykańskich od czasu uzyskania przez nie niepodległości i ich konsekwencje.

W latach 60. XX wieku, gdy afrykańskie kolonie jedna po drugiej uzyskiwały status niepodległych państw, prawdziwą ich plagą były kolejne przewroty, wskazujące, że sama niepodległość to jeszcze nie wszystko, jeśli nie ma spójnej koncepcji, co z nią zrobić – a rzeczywistość zderza się z uczuciem niemożności jej przemiany. A gdy władzę obali się przemocą raz, każdy następny przychodzi łatwiej. W rezultacie powstał dylemat, co lepsze, lub przynajmniej, co jest mniejszym złem: czy niestabilność i chaos, czy długotrwałe rządy silnej ręki. Dla byłych metropolii, a szczególnie dla ceniącej sobie pragmatyczne rozwiązania Francji, która w mniejszym niż Wielka Brytania stopniu wycofywała się z roli rozgrywającego w Afryce, odpowiedź na to pytanie była oczywista. W ten sposób liczne frankofońskie (choć nie

tylko) kraje w tym, czy innym momencie, dochodziły do etapu, gdy władzę zdobywał w nich ktoś, kto nie tylko wiedział, jak tego dokonać, ale także i to, jak zabezpieczyć się przed podobnymi zakusami potencjalnych rywali. W rezultacie jednak kraj uzyskiwał stabilność i w stosunku do swoich zagranicznych partnerów i protektorów działał w sposób przewidywalny. Tyranów warto było hołubić, póki byli sterowalni. Nawet, jeśli przebrali miarę, jak środkowoafrykański cesarz Bokassa lub zairski dyktator Mobutu Sese Seko, tracili łaski dopiero wtedy, gdy znaleźli się w sytuacji bez wyjścia.

Z czasem, zwłaszcza gdy po 1990 roku zniknęło zagrożenie, że do gry włączą się znów "straszni Rosjanie" i zechcą wesprzeć jakiś oddolny ruch, jak to było w dawnym belgijskim Kongo, Angoli czy kilku jeszcze innych krajach – wypadało delikatnie nakłaniać protegowanych dyktatorów, aby w ramach globalnego zwycięstwa demokracji, rozumianej jako demokracja w stylu zachodnim, zaczęli przynajmniej stwarzać pozory, że rządzą nie na podstawie mandatu siły, ale mandatu uzyskanego w wyborach.

Wiele można powiedzieć o zupełnie oczywistych negatywnych konsekwencjach takich długoletnich rządów, w tym momencie warto jednak zwrócić uwagę na jeden ich aspekt, a ten właśnie jest doskonale widoczny na przytoczonym przykładzie togijskim. Otóż, gdy przez lata zwornik władzy w osobie nieusuwalnego praktycznie prezydenta nie zmienia się, elita polityczna kraju dostosowuje się (jak również: jest dostosowywana) do tej sytuacji. Mogący stanowić zagrożenie potencjalni rywale zostają wyeliminowani, stanowiska obsadzają raczej zręczni klakierzy niż osobnicy zdolni wnieść jakąkolwiek nową jakość. Ci nie mają ambicji, by panujący stan rzeczy zmieniać, bo dobrze im w nim. Ja jestem ministrem spraw zagranicznych i mam swoją działkę w państwowym torcie. Kolega jest ministrem obrony i też ma. Jeszcze inny – powiedzmy, przewodniczący parlamentu – również. Możemy się wzajemnie podgryzać, starać się zaskarbić sobie łaski władcy, ale na tym nasze ambicje zwykle się kończą, bo ostateczny układ odniesienia determinuje

sam prezydent. Gdyby prezydenta zabrakło, co byłoby dalej? Może ja bym go zastąpił? Ale ten czy ów może pomyśleć to samo. Z drugiej zaś strony, prezydent dbał przecież o to, żeby żaden z nas nie był dość silny, aby samodzielnie sięgnąć po sukcesję. Weźmiemy się za łby, wynik tej walki niepewny, a cała budowla, w której wszyscy jesteśmy wygodnie ulokowani, może się od tego zawalić. Generał Nandja chyba rozumiał instynktownie, na czym polegał problem związany ze śmiercią prezydenta i starał się mu zaradzić najlepiej jak mógł. Po żołniersku.

Rządzący przez dekady prezydenci lubią twierdzić, że nie ma dla nich alternatywy. Że chętnie by władzę komuś przekazali, tylko nie mają komu. Tak twierdzi np. prezydent Burundi Pierre Nkurunziza, który wbrew wcześniejszym zapowiedziom, że tego nie robi, zdecydował się pomimo protestów opozycji i rozruchów, sięgnąć po trzecią kadencję na urzędzie prezydenta. Podobnie rządzący od 2000 roku prezydent sąsiedniej Rwandy, Paul Kagame, który przeprowadził w ubiegłym roku referendum konstytucyjne, w wyniku którego liczba kadencji głowy państwa zostanie ograniczona, ale, ponieważ ich rachubę zacznie się od początku, będzie mógł rządzić do 2034 roku. Z ich perspektywy to oni, i tylko oni – są gwarantami stabilności państwa. Chcecie nas zastąpić kimś, kto nie zna się na rządzeniu, powypuszczać diabły z pudełka i mieć kolejną odsłonę ludobójstwa? – pytają, retorycznie, rzecz jasna, bo odpowiedzialność za państwo nie pozwoli im na taki nierozważny krok.

Co więcej, stawiający w ten sposób sprawę prezydenci mają w pewnym sensie rację, bo w takich układach politycznych także i opozycyjne ugrupowania polityczne i ich liderzy przechodzą specyficzną ewolucję. Zasadniczym ich celem staje się zastąpienie prezydenta sobą, jego ludzi, swoimi ludźmi, a dalej – się zobaczy. Przykłady Burkiny Faso po obaleniu prezydenta Compaoré czy Republiki Środkowoafrykańskiej po zmuszeniu do ucieczki François Bozizé (rządził 10 lat, od

2003 do 2013 roku, po utracie władzy musiał szukać schronienia pod opieką kameruńskiego kolegi), nie mówiąc już o Libii (choć to osobna historia, gdyż Muammar Kaddafi pewnie by rządził nadal, gdyby nie francusko-brytyjsko-amerykańska interwencja zbrojna) wcale nie wskazują, że po tego rodzaju zmianach momentalnie następuje okres powszechnej szczęśliwości.

PRZYCZYNA ZŁA?

Świat rozwinięty lubi z poczuciem wyższości krytykować Afrykę, a długoletnie rządy afrykańskich prezydentów na przedmiot takiej krytyki nadają się znakomicie. Gdy w lipcu ubiegłego roku prezydent Stanów Zjednoczonych Barack Obama wystąpił na forum Unii Afrykańskiej, stawiając siebie za przykład, jak należy postępować, uczynił temat „dożywotnich prezydentów” jednym z wątków przewodnich swojego przemówienia (zignorowanego przez większość afrykańskich prezydentów), wskazując, że jest to jedna z głównych przeszkód stojących na drodze demokratyzacji, rozwoju i dobrobytu Afryki.

Faktycznie, ograniczenie sprawowania urzędu prezydenta do dwóch kadencji jest wpisane do amerykańskiej konstytucji (i to nawet, jeśli nie są to kadencje bezpośrednio po sobie następujące), choć warto pamiętać, że poprawka ta została wprowadzona po długoletniej prezydenturze Franklina D. Roosevelta, który zmarł krótko po tym, jak został wybrany po raz czwarty. Dodać też trzeba, że – choć w zachodnich systemach prezydenckich i semi-prezydenckich staje się ono normą – generalnie czas sprawowania realnej władzy (nie mówimy o monarchach) takim rygorom nie podlega i nikt nie dopatruje się w tym jakiegoś strasznego chybienia zasadom demokratycznym. Margaret Thatcher, w Polsce czczona jako niemal jako personifikacja zachodniej demokracji, mogła być premierem Wielkiej Brytanii, wygrywając wybory trzykrotnie, choć i tak, gdy po 11 latach żegnała się z Downing Street, robiła to z płaczem, uważając, że utracono ją w wyniku zdrady.

Wiele krajów (także afrykańskich, zwłaszcza te, które w

nieodległej przeszłości zmieniły konstytucję, między innymi Nigeria), wprowadziło zasadę ograniczenia liczby kadencji prezydenckich i nawet jej przestrzega. Bezkonfliktowe ustąpienie Goodlucka Jonthana ze stanowiska prezydenta Nigerii (wszakże piastował je tylko przez jedną pełną kadencję plus kawałeczek – dokańczając kadencję zmarłego w czasie urzędowania Umaru Yar'Adui) społeczność międzynarodowa odnotowała (dało się wyczuć pewne rozczarowanie, że tym razem Nigeria nie wystąpiła w charakterze dyżurnego „złego ucznia”) jako dowód postępującej demokratyzacji. Podobnie kilka lat wcześniej nigeryjscy prawodawcy zablokowali próby zmiany prawa mające umożliwić Olusegunowi Obasanjo, pierwszemu prezydentowi po powrocie do rządów cywilnych, trzecią kadencję. Ale nie zawsze tak być musi i samo wpisanie podobnego ograniczenia w praktyce nie musi gwarantować jego respektowania. Przykład Pierre’a Nkurunzizy pokazuje, że za pomocą prawnych kruczków lub zmiany konstytucji można je łatwo obchodzić. Nie rzecz bowiem w samym prawie.

Nie rzecz także w długoletnich rządach, a raczej nie w tym, żeby miały one być przyczyną zła, ale, podobnie jak wiele innych ułomności afrykańskich systemów politycznych, konsekwencją kilku różnych czynników, w tym kolonialnej przeszłości i postkolonialnych uwarunkowań. Bez wątpienia, w wielu przypadkach są one karykaturą państwa, przede wszystkim zaś są czynnikiem wspierającym stagnację, a właśnie jej przełamanie jest tym, czego afrykańskie społeczeństwa potrzebują jak wody. Niemniej jednak potrzeba zmiany leży gdzie indziej – przede wszystkim w zapewnieniu afrykańskim społeczeństwom tego, czego potrzebują do rozwoju – dostępu do edukacji i opieki zdrowotnej oraz godnego poziomu życia – a wtedy same skutecznie zreorganizują swoje instytucje polityczne zgodnie ze swoimi potrzebami, wcale niekoniecznie według tej samej recepty, którą przepisują im i Ameryka, i Europa.

Twierdzenie, że samo wyeliminowanie „dożywotnich prezydentów”

otworzy drogę do pozytywnej przemiany, jest przejawem naiwności. Ani usunięcie Saddama Husseina, ani Muammara Kaddafiego nie zmieniło ani Iraku, ani Libii w kwitnące oazy demokracji, jak to oficjalnie zapowiadano. Można śmiało założyć, że w przypadku jakiegokolwiek z państw subsaharyjskiej konsekwencje wcale nie byłyby lepsze – chyba, że takie właśnie by miały być, czego – rozważwszy sprawę efekty siłowego propagowania demokracji w krajach pozaeuropejskich – wcale nie można wykluczać.

Autorstwo: Grzegorz Waliński

Źródło: Strajk.eu